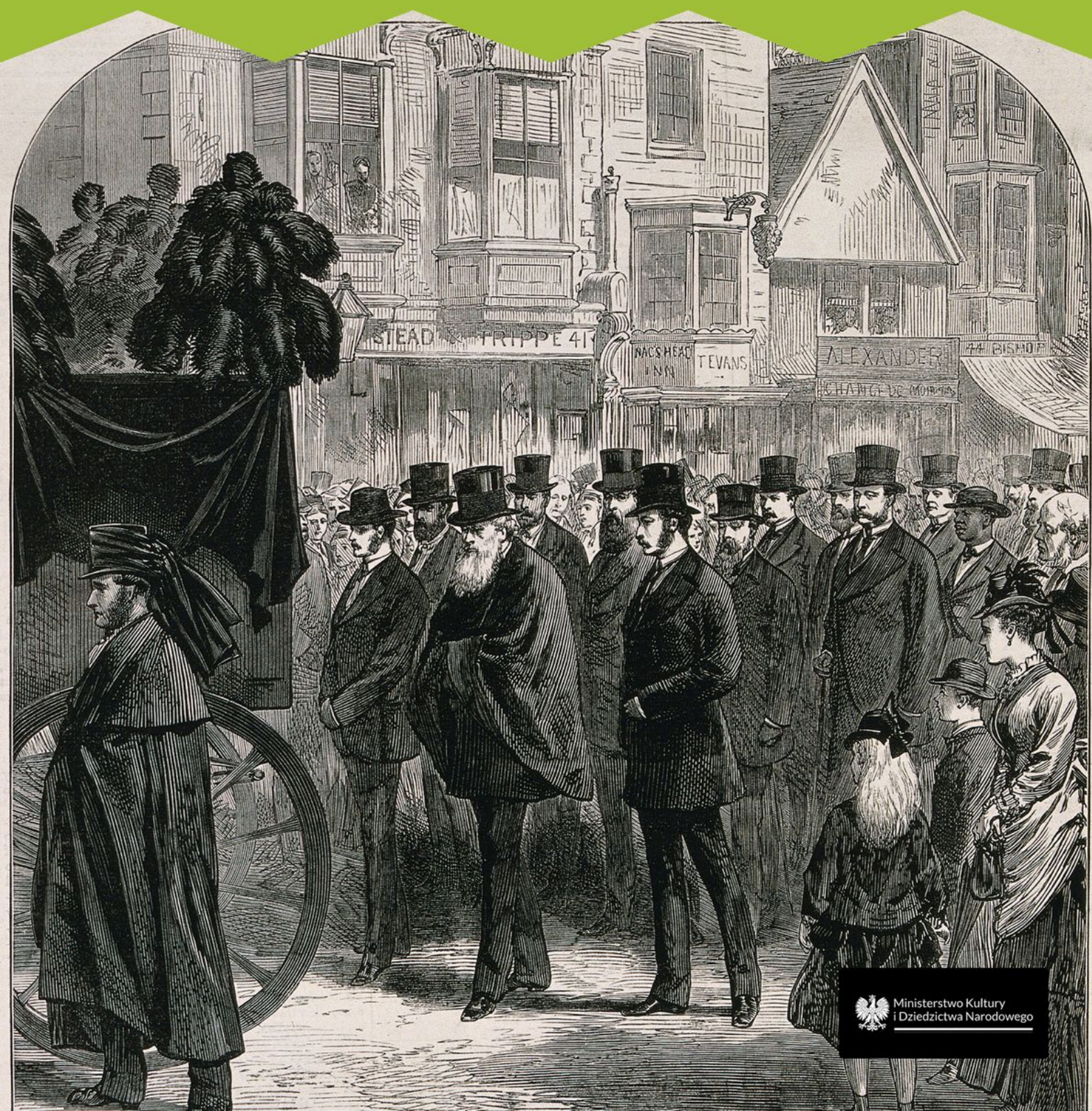


# Przedwczesny pogrzeb





EDGAR ALLAN POE

# Przedwczesny pogrzeb

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Istnieją pewne tematy przejmujące do głębi, wszelako nazbyt okropne, iżby mogły stać się przedmiotem rzetelnej literatury powieściowej. Rzetelni pisarze muszą ich unikać, jeśli nie chcą wywołać zgorszenia lub niesmaku. Godzi się je podejmować tylko w takich razach, gdy uświęca je i usprawiedliwia surowe dostojeństwo prawdy. Drżymy na przykład wstrząsani przenikliwym dreszczem „zachwycającej męki”, gdy czytamy o przejściu przez Berezynę<sup>1</sup>, o trzęsieniu ziemi w Lizbonie<sup>2</sup>, o dżumie w Londynie<sup>3</sup>, o nocy św. Bartłomieja<sup>4</sup> albo o uduszeniu stu dwudziestu trzech więźniów w Czarnej Dziurze w Kalkucie<sup>5</sup>. Wszelako w tych opowieściach wstrząsają nami zdarzenia, rzeczywistość, historia. Gdyby były zmyślane, przejmowałyby nas tylko odrazą.

Przytoczyłem kilka najznamienszych i najszczytniejszych klęsk, jakich zaznała pamięć ludzka; rozpłomieniają one wyobraźnię zarówno rozmiarami, jak i charakterem klęski. Nie uważam za potrzebne zaznaczać, że z długiego i złowrogiego korowodu nieszczęść ludzkich mógłbym wybrać wiele przykładów poszczególnych, nierównie więcej obarczonych istotną męką niż wszystkie te ogromy niedoli zbiorowej. Nędza istotna, rozpacz ostateczna — bywają zaiste udziałem jednostki, nie zbiorowości. Dziękujemy miłosierdziu boskiemu, iż upiornych mąk konania doznaje jednostka ludzka, a nie ludzka gromada!

Być pogrzebanym za życia jest niewątpliwie najostatniejszą okropnością, jaka może przydarzyć się człowiekowi śmiertelnemu. Że zdarzało się to często, bardzo często — temu zapewne nie zaprzeczą ludzie myślący. Rubieże, które dzielą życie od śmierci, są co najmniej mroczne i nieokreślone. Któż może powiedzieć, gdzie pierwsze się kończy, a drugie zaczyna? Wiemy, iż istnieją choroby, w których przejawia się zupełny zastój wszystkich widomych czynności życiowych, wszelako jest on tylko tym, co zwykliśmy nazywać zahamowaniem. Są to tylko chwilowe przerwy w niedocieczonym mechanizmie. Po pewnym czasie jakiś nieuchwytny, tajemniczy czynnik znów wprawia w ruch magiczne sprężyny i zakłete koła. Srebrny wątek nie rozsnuł się na wieki i nie roztrzaskała się bezpowrotnie złota czara. Lecz co podówczas działo się z duszą?

Rozpacz, Kondycja ludzka

Choroba, Dusza

<sup>1</sup>przejście przez Berezynę (26–28 listopada 1812) — wycofująca się spod Moskwy, wycieńczona i osłabiona przez mróz i głód, francuska Wielka Armia Napoleona została otoczona z trzech stron przez Rosjan. Napoleon postanowił przeprowadzić swoje wojska przez rzekę Berezynę; zanurzeni w lodowatej wodzie saperzy zbudowali dwa drewniane mosty, ponad stu pracujących zmarło z wychłodzenia. Kiedy przez mosty przeprowili się wszystkie oddziały i tylna straż armii i został wydany rozkaz spalenia mostów, wśród pozostawionych samym sobie tysięcy maruderów wybuchła panika: tłum rzucił się do przeprawy, wiele osób zginęło zdeptanych lub zepchniętych do rzeki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>trzęsienie ziemi w Lizbonie (1 listopada 1755) — wielkie trzęsienie ziemi w Lizbonie, bezpośrednio po którym wystąpiło tsunami; jeden z najtragiczniejszych tego rodzaju kataklizmów w historii: zginęło ok. 90 tysięcy osób, Lizbona została całkowicie zrujnowana. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>dżuma w Londynie — wielka epidemia dżumy w Londynie w latach 1665–1666, podczas której zmarło ok. 100 tysięcy osób, jedna czwarta populacji miasta. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>noc św. Bartłomieja — rzeź dokonana przez katolików w Paryżu w nocy z 23 na 24 sierpnia 1572, której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (francuskich protestantów), na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Czarna Dziura w Kalkucie (ang. *Black Hole of Calcutta*) — niewielka cela w Fort William w Kalkucie, w której żołnierze bengalscy przetrzymywali brytyjskich jeńców wojennych po zdobyciu fortu 20 czerwca 1756; wg jednego z ocalałych jeńców w ciasnym pomieszczeniu, mierzącym ok. 4,5 × 5,5 m, więziono 146 osób, z których do rana przeżyło 23. [przypis edytorski]

Pomijając atoli nieunikniony wniosek *a priori*<sup>6</sup>, że podobne przyczyny muszą wywoływać podobne skutki — że znane powszechnie przykłady takiego zahamowania czynności życiowych muszą powodować od czasu do czasu przedwczesne pogrzeby — pomijając, powtarzam, te teoretyczne wnioskowania, posiadamy bezpośrednie świadectwa lekarzy oraz innych osób, które stwierdzają, że takie pogrzeby zdarzały się nader często. Mógłbym przytoczyć niezwłocznie, jeżeli zachodziłaby potrzeba, setki wypadków niezawodnie autentycznych. Jeden, nadzwyczaj osobliwy, którego szczegóły nie zatarły się zapewne jeszcze w pamięci mych czytelników, zdarzył się nie tak dawno temu w sąsiednim mieście Baltimore i stał się przyczyną silnego, przykrego i powszechnego wzburzenia. Małżonka jednego z najszanowniejszych obywateli — znakomitego prawnika i członka Kongresu — uległa jakiejś nagłej i niepojętej chorobie, wobec której okazała się najzupełniej bezsilna wszelka umiejętność lekarska. Po wielu cierpieniach umarła lub przynajmniej wydawało się, że umarła. Nikt nie podejrzewał i nie miał powodu do podejrzeń, że zgon jej istotnie nie nastąpił. Okazywała wszystkie zwykłe oznaki śmierci. Rysy zaostrzyły się i twarz zapadła. Usta powlokły się bladością marmuru. Oczy zgasły. Chłód ogarnął członki. Tętno ustało. Zwłoki spoczywały przez trzy dni niepogrzebione i przybrały stężałość kamienia. Przyspieszono obchód żałobny, gdyż szybko dokonywało się to, co wydawało się rozkładem.

Złożono tę panią w grobowcu rodzinnym, do którego nie zajrzano następnie przez trzy lata. Otwarto go dopiero wówczas, gdy było trzeba wstawić sarkofag; lecz jakież straszliwe wstrząs przeniknął małżonka, który sam otworzył drzwi! Kiedy podwoje rozwarły się na zewnątrz, jakiś obleczonej w biel przedmiot obsunął się mu w ramiona. Był to kościotrup jego żony w niezbutwiałym jeszcze całunie.

Staranne badania wykazały, iż powróciła do życia w jakieś dwa dni po swym złożeniu do grobu; skutkiem jej szamotań trumna spadła ze skraju podwyższenia na posadzkę i rozbiła się, umożliwiając jej wyzwolenie. Lampa, którą przypadkiem pozostawiono w grobowcu napełnioną olejem, była pusta; co prawda, płyn mógł wyparować. Na najwyższym stopniu schodów prowadzących do żałobnego przybytku znaleziono duży odłamek trumny, którym zapewne kołatała w żelazne drzwi, by zwrócić na siebie uwagę. Prawdopodobnie postradała przy tym przytomność lub może nawet wyzionęła ducha z samego tylko lęku. Kiedy padała, całun jej zaplątał się w żelazną kratę, której nierówności wystawały ku wewnątrz. Pozostała tak, wyprostowana, i tak uległa rozkładowi.

W roku 1810 pogrzebano we Francji osobę żyjącą w okolicznościach, które dowodzą, iż rzeczywistość bywa dziwniejsza od zmyślenia. Bohaterką tego zdarzenia była Mademoiselle<sup>7</sup> Victorine Lafourcade, młoda dziewczyna ze znakomitej rodziny, bogata i bardzo piękna. Do licznych jej wielbicieli należał także Julien Bossuet, ubogi *littérateur*<sup>8</sup> czy dziennikarz paryski. Zdolnościami swymi i uczciwością swej natury zwrócił na siebie uwagę panny, która, jak się zdaje, szczerze go pokochała; wszelako za podszeptem dumy rodowej wyrzekła go się w końcu i poślubiła niejakiego Monsieur<sup>9</sup> Renelle, bankiera i dość cenionego dyplomata. Ożeniwszy się z nią, jął ją zaniedbywać, a nawet prawdopodobnie źle z nią się obchodzić. Po kilkoletnim nieszczęśliwym pożyciu umarła — lub przynajmniej stan jej był tak podobny do śmierci, iż złudził całe jej otoczenie. Pochowano ją, atoli nie w sklepionym grobowcu, lecz w zwykłej mogile, na cmentarzu jej wsi rodzinnej. Zrozpaczony i z duszą rozgorzałą wspomnieniami głębokiego uczucia kochanek wyjeżdża ze stolicy w dalekie strony, gdzie leży owa wioska, zamierzając odgrzebać jej zwłoki i wejść w posiadanie szczodrych jej warkoczy. Odnajduje grób. O północy odkopuje trumnę, otwiera ją i ma przystąpić do ucięcia włosów, gdy otwierają się ukochane oczy. Kobiętę tę pochowano żywcem. Wszelako życie nie wygasło w niej zupełnie; z letargu, który wydawał się śmiercią, obudziły ją pieszczoty kochanka. Wprost nieprzytomny zaniósł ją do swego mieszkania we wsi. Dzięki swej niemałej wiedzy lekarskiej umiejętnie zastosował lekarstwa pokrzepiające. Ostatecznie powróciła do życia. Poznała swego zbawcę. Pozostała z nim i z wolna, stopniowo odzyskała w zupełności zdrowie. Jej kobiece serce nie było z diamentu i rozrzewniło się tym dowodem miłości. Oddała je Bossuetowi. Nie

<sup>6</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*mademoiselle* (fr.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*littérateur* (fr.) — pisarz, literat. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

powróciła już do męża, lecz zataiwszy swe zmartwychwstanie, wyjechała z kochankiem do Ameryki. W dwadzieścia lat później powrócili oboje do Francji w przeświadczeniu, że czas zmienił zupełnie wygląd owej pani i że znajomi nie będą mogli jej poznać. Wszelako się pomylili, gdyż przy pierwszym spotkaniu Monsieur Renelle poznał swą żonę i upomniał się o nią. Oparła się jego żądaniom, a sąd przyznał jej słuszność, orzekłszy, iż wyjątkowe okoliczności oraz długi przeciąg czasu unieważniły nie tylko ze względów godziwości, lecz także w znaczeniu prawnym wszelkie zobowiązania małżeńskie.

„Czasopismo Chirurgiczne” lipskie — które posiada takie zasługi i znaczenie, iż należałoby je przetłumaczyć i wydać — opowiada w swym ostatnim numerze o godnym ubolewania wypadku tego samego rodzaju.

Pewien oficer artylerii, człowiek olbrzymiego wzrostu i żelaznego zdrowia, spadł z narrowistego konia i doznał tak ciężkich uszkodzeń głowy, iż wystąpiły u niego od razu oznaki obłądzenia. Czaszka była lekko nadwreżona, wszelako nie zachodziła obawa niezwłocznego niebezpieczeństwa. Dokonano trepanacji, która się powiodła. Puszczono mu krew i zastosowano inne środki kojące. Mimo to pograżał się coraz bardziej w beznadziejnym stanie odrętwienia i w końcu zdawało się, że umarł.

Panowały gorąca, pochowano go przeto z niewłaściwym pośpiechem na jednym z cmentarzy publicznych. Pogrzeb odbył się we czwartek. W niedzielę cmentarz zappełnił się, jak zwykle, ciżbą ludzką. Około południa wywołał ogromne zamieszanie jakiś chłop, który jął opowiadać, iż siedząc na grobie owego oficera, uczuł wyraźnie, że ziemia pod nim się porusza, jak gdyby ktoś pod nią się szamotoł. Zrazu na słowa te niewielką zwracano uwagę. Wszelako widoczne przerażenie i zawzięty upór, z jakim podtrzymywał prawdziwość swego opowiadania, wywarły w końcu wrażenie na tłumie. Przyniesiono pośpiesznie łopaty i w kilka minut rozkopano haniebnie płytki grób, z którego ukazała się głowa nieboszczyka. Miał wygląd nieżywego, jednakże niemal prosto siedział w swej trumnie, której wieko, szamocząc się wściekle, zdołał częściowo podnieść w górę.

Odstawiono go natychmiast do najbliższego szpitala, gdzie okazało się, iż żył jeszcze, aczkolwiek bliski uduszenia. Po kilku godzinach odzyskał przytomność, jął poznawać znajomych i urywanymi zdaniami opowiadać o swej męce w grobie.

Z opowiadania jego wynikało, iż był przytomny przez jakąś godzinę, kiedy go grzebano, i dopiero później postradał świadomość istnienia. Grób wypełniono niedbale luźną i mocno rozpulchnioną ziemią, skutkiem czego dopływało nieco powietrza. Słyszał stapanie ciżby nad sobą i robił wysiłki, by go wzajem usłyszano. Zgiełk tłumu — jak mówił — obudził go z głębokiego uspienia; obudziwszy się, zdał jasno sobie sprawę ze straszliwej grozy swego położenia.

Chory ten miał się dobrze i był — jak się zdaje — bliski zupełnego wyzdrowienia, lecz padł ofiarą niedorzecznych eksperymentów lekarskich. Zastosowano baterię galwaniczną i wyzionął nagle ducha w przystępie ekstazy w ten sposób wywołanej.

Bateria galwaniczna wiąże się ze wspomnieniem powszechnie znanego i nadzwyczaj dziwnego wypadku; mianowicie przy jej pomocy przywołano do życia pewnego młodego adwokata londyńskiego, który przez dwa dni przebywał w grobie. Wypadek ten zdarzył się w 1831 roku, a wieść o nim wywołała wszędzie głębokie wrażenie.

Chory, Mr<sup>10</sup> Edward Stapleton, zmarł rzekomo na gorączkę tyfoidalną połączoną z jakimiś niezwykłymi objawami, które wielce zaciekały czuwających nad nim lekarzy. Po jego pozornym zgonie domagano się od rodziny, by zezwoliła na sekcję zwłok, ale pozwolenia nie otrzymano. Jak często się zdarza w podobnych wypadkach, lekarze postanowili odkopać zwłoki i dokonać sekcji po kryjomu. Wszelkie przygotowania poczyniono z łatwością przy pomocy nader licznych w Londynie złodziei, którzy kradną trupy. Trzeciej nocy po obchodzie żałobnym wydobyto domniemane zwłoki z dołu głębokiego na osiem stóp<sup>11</sup> i złożono je w sali operacyjnej pewnej lecznicy prywatnej.

Dość duże cięcia wykonane w okolicy jamy brzusznej pozwoliło stwierdzić, iż trup był jeszcze świeży i niedotknięty rozkładem; postanowiono zatem zastosować baterię. Odbywały się doświadczenia jedne po drugich, występowały zwykle objawy, niewykazujące

<sup>10</sup>Mr (ang.) — skrót od *mister*: pan. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>stopa — dawna miara długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

atoli niczego charakterystycznego prócz dwu czy trzech wzmózonych skurczów, które były jakby oznaką życia.

Noc była późna. Miało się już ku świtaniu, więc obecni postanowili dłużej nie zwlekać i przystąpić od razu do sekcji zupełnej. Wszelako pewien student, pragnąc sprawdzić swą teorię, nalegał, by poddano działaniu baterii któryś z mięśni piersiowych. Zrobiono głębokie cięcie i połączono pośpiesznie mięsień z baterią, gdy przedmiot badań ruchem nagłym, lecz bynajmniej nie kurczowym, zerwał się ze stołu, postąpił na środek sali, rozejrzał się błędnie dokoła siebie i przemówił. Niepodobna było zrozumieć, co mówił, ale wymawiał jakieś słowa i zgłoski brzmiały wyraźnie. Przemówiwszy, powalił się ciężko na posadzkę.

Zrazu wszystkich ubezwładniła groza — lecz opamiętali się rychło, gdyż nie było ani chwili do stracenia. Przekonali się, że Mr Stapleton był żywy, jakkolwiek nieprzytomny. Otrzeźwiony eterem<sup>12</sup>, wnet odzyskał zdrowie i powrócił do rodziny, którą o jego zmartwychwstaniu zawiadomiono dopiero wówczas, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nietrudno wyobrazić sobie jej zdumienie — jej osłupiałą radość.

Wszelako najbardziej wstrząsające szczegóły zawierały się w tym, co sam Mr Stapleton opowiadał. Utrzymywał on, że ani przez jedno mgnienie nie był zupełnie nieprzytomny, że niejasno i bezładnie wiedział o wszystkim, co z nim się działo od chwili, kiedy lekarze orzekli, że jest martwy, aż do utraty przytomności w szpitalu. „Jestem żywy” — brzmiały owe niezrozumiałe słowa, które cisnęły mu się na struchlałe usta, kiedy zobaczył, że znajduje się w sali prosektoryjnej.

Z łatwością mógłbym przytoczyć jeszcze całe mnóstwo podobnych przykładów, lecz nie czynię tego, gdyż zaprawdę nie są one potrzebne, by dowieść, że przedwczesne pogrzeby się zdarzają. Jeżeli zważymy, jak niezmiernie rzadkie z natury rzeczy są okoliczności, które pozwalają nam je odkryć, to musimy przypuścić, iż zdarzają się one często bez naszej wiedzy. Jakoż prawie zawsze przy uprzątnięciu cmentarzy na znaczniejszych przestrzeniach spotyka się kościotrupy, których postawy nasuwają najstraszniejsze przypuszczenia.

Straszliwe zaiste przypuszczenie, lecz stokroć straszliwszy los! Można zapewnić bez wahania, iż nie ma nieszczęścia, które by mogło w tak okropnej mierze pogłębić do ostateczności ciało i duszę, jak przedwczesne złożenie do grobu. Nieznośny ucisk płuc, duszące wyziewy wilgotnej ziemi, wpijanie się rąk w pośmiertne całuny, nieubłagana cieśń szczupłego pomieszczenia, mrok wiekuistej nocy, cisza jak ogłuszające morze, niewidzialna wprawdzie, lecz dająca się wyczuć obecność robaka-zwycięzcy — wszystko to w połączeniu z myślami o powietrzu i zieleni, rozpostartej hen, w górze, ze wspomnieniami o ludziach nam bliskich, którzy by pośpieszyli z pomocą, gdyby wiedzieli, co z nami się dzieje, ze świadomością, iż oni o tym nigdy dowiedzieć się nie mogą, że beznadziejnym udziałem naszym jest nieunikniona śmierć — myśli te napawają serce, co jeszcze bije, takim ogromem przerażenia i nieuskromionej trwogi, iż cofa się z drżeniem przed nimi nawet najśmielsza wyobraźnia. Nie znamy niczego równie rozpaczliwego na ziemi, nie możemy wyśnić niczego bodaj na poły równie potwornego w otchłani najostateczniejszych piekieł; i dlatego opowieści z tej dziedziny są tak ogromnie zajmujące. Jest to następstwem świętej grozy, jaką wywołuje sam przedmiot, iż zajęcie to pozostaje w najzupełniejszej i najściślejszej zależności od naszego przeświadczenia o prawdzie rzeczy opowiadanej. To, co zamierzam opowiedzieć obecnie, jest mi doskonale znane — polega na moim osobistym i rzeczywiście doświadczeniu.

Od kilku lat doznawałem objawów jakiegoś dziwnego niedomagania, które lekarze uznali zgodnie za katalępsję<sup>13</sup>, nie mogąc się zdobyć na ściślejsze określenie. Aczkolwiek predyspozycja, przyczyny bezpośrednie, a nawet rozpoznanie bieżące tej choroby przedstawiają się jeszcze nader niejasno, to przecież widoczne i charakterystyczne jej przejawy są już dostatecznie znane. Odmiany jej zależą głównie od nasilenia. Niekiedy chory tylko dzień jeden lub nawet krócej znajduje się w stanie jakby wzmózonego letargu. Jest bez czucia i zewnętrznie bez ruchu, lecz słabe tętno serca daje się wciąż jeszcze wyczu-

Choroba, Pozory, Pogrzeb

<sup>12</sup>eter (pot.) — eter dietylowy, szybko się ulatniająca ciecz o odurzającym zapachu; stosowany w XIX w. jako środek znieczulający. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>katalępsja — odrętwienie, zesztynienie mięśni powodujące zastygnięcie ciała, często w nienaturalnej pozycji; występuje przy niektórych zaburzeniach psychicznych, chorobach mózgu oraz zatruciach. [przypis edytorski]

wać; ciepłota w zupełności nie zanika; nikły ślad rumieńca mży jeszcze pośrodku policzków; przyłożywszy mu lusterko do ust, można zauważyć opieszłą, chwiejną i nierówną czynność płuc. Innym razem odrętwienie to może trwać całymi tygodniami lub nawet miesiącami; najdokładniejsze badania, najprzenikliwsze dociekania lekarskie nie mogą wówczas wykryć istotnej różnicy między stanem, w którym znajduje się chory, a między tym, co nazywamy śmiercią. Przedwczesnemu jego pogrzebowi zapobiega zwykle tylko to, że najbliżsi wiedzieli już od dawna o jego niedomaganiu kataleptycznym, więc mają się na baczności, zaś przede wszystkim to, że nie występują oznaki rozkładu. Rozwój choroby odbywa się na szczęście stopniowo. Pierwsze objawy, aczkolwiek zmienne, są niedwuznaczne. Paroksyzmy zaznaczają się coraz wyraźniej; każdy następny przeciąga się dłużej od poprzedzającego. Na tym polega przede wszystkim zabezpieczenie przed złożeniem do grobu. Nieszczęśliwy, u którego pierwszy paroksyzm przejawiłby się od razu w formie najkrajcowszej, jak to niekiedy się zdarza, zostałby na pewno pochowany żywcem.

Mój wypadek różnił się wcale znacznie od przytaczanych w podręcznikach lekarskich. Niekiedy bez widocznej przyczyny zapadałem z wolna jak gdyby w nieprzytomność, w połowiczne omdlenie. Pozostawałem w tym stanie, nie doznając bólu, nie mogąc się ruszać, ani też — by wyrazić się ściśle — myśleć, zachowując jednakże niejasne, letargiczne poczucie życia jako też osób otaczających me łożę, aż do chwili kiedy w chorobie następowało przesilenie i nagle powracała mi zupełna świadomość. Innym razem ulegałem jakby śpiesznemu i natarczywemu porażeniu. Przychodziły zawroty i mdłości, zastygałem, krzepłem i padałem bezwładnie na ziemię. Potem następowały długie tygodnie, kiedy wszystko ziało czczością, czernią i milczeniem, a nicość stawała się wszechświatem. Nie byłoby zapewne niczym innym zupełne unicestwienie. Paroksyzmy tego rodzaju mijają tym wolniej, im poczynały się naglej. Podobnie jak świta dzień opuszczonemu, bezdomnemu żebrakowi, który przez całą długą, beznadziejną noc zimową błąkał się po ulicach — tak samo opieszale, tak samo smętnie, tak samo radośnie rozwidniała się znów we mnie światłość duszy.

Poza tą skłonnością do paroksyzmów zdrowie moje na ogół zdawało się niezłe i nie byłbym zauważył wcale, że je podkopuje jakaś ciężka choroba, gdyby nie pewne właściwości mojego snu, które wystąpiły jako objaw dodatkowy. Po przebudzeniu nie odzyskiwałem nigdy od razu pełnego posiadania mych zmysłów, tudzież pozostawałem zawsze przez czas jakiś w stanie silnego rozstroju i odurzenia, przy czym władze umysłowe w ogólności, zaś pamięć w szczególności pogrążyły się w zupełnym bezwładzie i zastoju.

We wszystkich tych niedomaganiach nie było wcale cierpień fizycznych, przynębiał mnie natomiast cały bezmiar udręczeń psychicznych. Wyobrażenia moja oblekała się całunem. Mówiłem o robakach, o mogiłach, o napisach na grobach. Zaprzepaszczałem się w marzeniach o śmierci, zaś myśl o przedwczesnym pogrzebie nieustannie snuła się mi po głowie. Czyhało na mnie upiorne niebezpieczeństwo, prześladowało mnie dniem i nocą. Za dnia tortura myśli była ogromna — w nocy stawała się bezmierną. Gdy posępne mroki zalegały ziemię i ogarniała mnie ostateczna groza mych rozmyślań, drżałem — drżałem jak chwiejne pióropusze na pojazdach żałobnych. Kiedy moje ciało nie mogło znieść dłużej bezsenności, opierałem się mimo to uśpieniu, gdyż przerażała mnie myśl, iż po przebudzeniu mogę ujrzeć się w grobie. Kiedy zaś w końcu pogrążyłem się we śnie, zapadałem natychmiast w świat widziadeł, nad którym na olbrzymich, złowieszczych, przyćmiewających wszystko skrzydłach unosiła się przemożna i jedyna świadomość żałoby.

Z niezliczonych smętnych zwidzeń, które udręczały mnie we śnie, przytoczę tylko jedno. Zdawało się mi, iż nurzam się w odrętwieniu kataleptycznym, nierównie przewleklejším i głębszym niż zazwyczaj. Nagle czyjaś lodowata ręka spoczęła na mym czole i jakiś niecierpliw, szwargoczący głos słowo: „Wstań!” szepnął mi do ucha.

Zerwałem się. Ciemność była nieprzebita. Nie mogłem dostrzec, kto mnie obudził. Nie mogłem zdać sobie sprawy, ani kiedy zapadłem w odrętwienie, ani gdzie obecnie przebywam. Siedziałem nieruchomo i starałem się zebrać myśli, gdy owa mroźna dłoń ujęła mnie za rękę i potrząsnęła nią zuchwale, zaś ów szwargoczący głos odezwał się znnowu:

— Wstań! Czy ci już nie mówiłem, żebyś wstał?

— Ale kto — pytałem — kto ty jesteś?

Choroba, Strach, Śmierć,  
Grób, Robak

— W krainie, gdzie przebywam obecnie, nie mam imienia — odparł głos posępnie. — Byłem człowiekiem, lecz jestem demonem. Byłem bezlitosny, lecz jestem pełen miłosierdzia. Czy nie czujesz, że drżą cały? Szczękają mi zęby, gdy mówię do ciebie, wszelako nie z zimna tej nocy — lecz nocy, co nie ma końca. Ta ohyda jest nie do zniesienia. Jak możesz spać spokojnie? Wołania tych mąk bezgranicznych nie pozwalają mi usnąć. Te widoki są nad moje siły. Wstawaj! Pójdź ze mną w tę noc zagrobową, a odsłonię ci tajnie<sup>14</sup>. Czyż to nie obraz żałości? Patrz!

Spojrzałem; za sprawą niewidzialnej postaci, która wciąż jeszcze trzymała mnie za rękę, otwarły się przede mną groby całej ludzkości. Promieniowały wszystkie fosforyczną poświatłą rozkładu, mogłem więc zajrzeć aż do najtajemniejszych podziemi i zobaczyłem tam spowite w całuny ciała, które swe uroczyste, smętne odpoczywanie dzieliły z robactwem. Ale niestety! Tych, którzy spali, było niewiele w porównaniu z milionami tych, którzy usnąć nie mogli. Pełno tam było słabych wysiłków i wszędzie żaloszny panował niepokój; i w głębi niezliczonych dołów szemrały posępnie szaty umarłych. I dostrzegłem, że wielu z tych, którzy leżeli spokojnie, zmieniło mniej lub więcej niewygodną, sztywną pozycję, w jakiej pierwotnie złożono ich do grobu. Kiedym tak patrzył, głos ów odezwał się znowu:

— Cóż, czy nie jest to żaloszny widok?

Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, postać owa puściła mą rękę, fosforyczne światła pogasły i zatrzasnęły się nagle groby, z których zawtórował zgielk rozpacznych okrzyków:

— Nie jestże to, o Boże, przeżaloszny widok?

Złowieszczy wpływ tych zwidzeń nawiedzających mnie nocą przenikał także głęboko w moje życie na jawie. Nerwy moje uległy pełnemu rozstrojowi i stałem się pastwą niewygasającej trwogi. Unikałem jazdy konnej, przechadzek, słowem wszystkiego, co mogłoby mnie oddalić od mego domu. Po prostu nie odważałem się przebywać z dala od osób, które wiedziały o mej skłonności do katalepsji, obawiałem się bowiem, iż gdyby zdarzyło się mi ulec zwykłemu paroksyzmowi, mógłbym zostać pogrzebany, zanim zdołano by sprawdzić mój rzeczywisty stan. Powątpiewałem o troskliwości, o przywiązaniu najmilszych przyjaciół. Wzdrygałem się na myśl, iż w razie dłuższego niż zwykle paroksyzmu mogliby zachwiać się w swym przeświadczeniu i uznać mnie za ostatecznie straconego. Posunąłem się nawet tak daleko, iż jąłem się lękać, by korzystając z jakiegoś przewlekłego paroksyzmu, nie byli radzi, że mogą uwolnić się od wielu trosk, których byłem przyczyną, i nie uważali ich za dostateczne usprawiedliwienie, żeby pozbyć się mnie na zawsze. Na próżno starali się mnie uspokoić uroczystymi przyrzeczeniami. Wymogłem na nich najświętszą przysięgę, iż nie złożą wcześniej zwłok moich do grobu, aż zupełny rozkład nie uniemożliwi dalszego ich przechowywania. Wszelako nawet wówczas mój lęk śmiertelny nie chciał słuchać głosu rozumu, nie dawał się ukoić żadnym pocieszeniem. Poczynilem zatem mnóstwo nadzwyczaj starannie obmyślonych zarządzeń. Między innymi kazałem w ten sposób przebudować grobowiec rodzinny, żeby go można z łatwością otworzyć od wewnątrz. Najlżejszy nacisk na długą dźwignię, sięgającą daleko w głąb krypty, wystarczał, by żelazne podwoje rozwarły się na oścież. Były tam także urządzenia umożliwiające swobodny dopływ światła i powietrza jako też odpowiednie schowki na pokarm i wodę, znajdujące się w bezpośrednim pobliżu trumny przeznaczonej na moje przyjęcie. Trumna ta była miękko i ciepło wysłana. Posiadała wieko urządzone w ten sposób, jak podwoje grobowca, z dodatkami sprężyn, które przy najlżejszym poruszeniu ciała uwalniały je z zamknięcia. Ponadto na dachu grobowca kazałem zawiesić wielki dzwon, od którego przez otwór w trumnie miano przeprowadzić linę łączącą go z ręką trupa. Ale niestety, czyż może mierzyć się czujność ludzka z przeznaczeniem? Mimo tych urządzeń, zapewniających zupełne bezpieczeństwo, nic nie mogło ocalić od ostatecznych mąk mnie, nieszczęsnego, skazanego przedwiecznym wyrokiem na pochowanie żywcem w grobie!

Przyszła chwila — jak to niejednokrotnie bywało już przedtem — iż w zupełnej nieprzytomności jęło mi świtać nikle, nieokreślone poczucie istnienia. Z wolna — żółtym krokiem — zbliżały się mdłe, szare brzaski psychicznego rozwidnienia. Odrętwiałość nie-domagania. Bezwolne poddanie się głuchej męce. Stan próżen troski, wysiłku, nadziei.

<sup>14</sup>tajnia (daw.; dziś poet.) — tajemnica. [przypis edytorski]

Po długiej przerwie — dzwonienie w uszach; po czym, po jeszcze dłuższej — pieczenie i klucie w kończynach; następnie pozornie wiekuisty okres rozkosznego spokoju, podczas którego budzące się odczuwania siłą się, by stać się myślami; potem krótkie ponowne zaprzepaszczenie się w niebycie, a po nim nagle ocknienie. W końcu lekkie drgnienie powiek i w okamgnieniu elektryczny wstrząs grozy, śmiertelnej i nieokreślonej, co sprawia, iż krew przelewa się strumieniami ze skroni ku sercu. I oto pierwszy rzeczywisty odruch myśli. I oto pierwsze drgnienie pamięci. I oto powodzenie częściowe i pierzchliwe. I zaraz potem pamięć, odzyskująca w tym stopniu swą władzę, że mogę w pewnej mierze zdać sobie sprawę z mego stanu. Czuję, iż nie budzę się ze zwykłego snu. Przypominam sobie, że jestem chory na katalepsję. I w końcu jakby ocean mnie przywalił, bo oto mój spiorunowany duch gnie się pod brzemieniem jedyne potworne niebezpieczeństwa — jedynej, upornej i wiekuście władczej idei.

Strach

Opełniony przez to urojenie, leżałem czas jakiś nieruchomo. I dlaczego? Nie mogłem zdobyć się na odwagę, by się poruszyć. Nie śmiałem uczynić wysiłku, który by mi dał świadomość mego losu; a jednak było coś w mym sercu, co szeptało, iż był niezawodny. Rozpacz, jakiej niezdolna jest wzniecić żadna inna niedola — rozpacz tylko zniewoliła mnie po długim wahaniu, bym rozwarł ciężkie powieki. Rozwarłem je. Było ciemno — wszędzie ciemno. Wiedziałem, że paroksyzm<sup>15</sup> minął. Wiedziałem, że przesilenie mej niemocy dawno się skończyło. Wiedziałem, że odzyskałem w zupełności zdolność widzenia, a jednak było ciemno — wszędzie ciemno — głęboka, nieprzenikniona ciemność nocy, wygasłej na wieki!

Chciałem krzyknąć; wargi moje i mój spieczony język drgały kurczowym wysiłkiem, ale z czeluści płuc nie wydobył się głos. Jakby przywalone brzemieniem jakiejś góry, dyszały i dygotały wraz z sercem przy każdym uciążliwym i wysiłonym oddechu.

Strach

Ruch szczęk, które rozwarłem, by głośno krzyknąć, uświadomił mi, że były podwiązane, jak zwykle u umarłych. Uczułem również, że leżę na czymś twardym i że coś podobnego zwiera się ciasno koło mnie z obu stron. Dotychczas nie śmiałem drgnąć żadnym członkiem, lecz teraz mocno szarpnąłem ramionami, które spoczywały wyciągnięte i skrzyżowane powyżej dłoni. Uderzyły o jakąś silną, drewnianą zaporę, która wysklepiała się nade mną o jakieś sześć cali<sup>16</sup> od mej twarzy. Nie mogłem już wątpić dłużej, iż spoczywałem wreszcie w trumnie.

I oto w bezmiarze mej męczarni zaszemrał mi słodko cherub<sup>17</sup> nadziei — gdyż pomyślałem o moich urządzeniach. Wiłem się i przeżyłem z całej siły, by podnieść wieko — ani nie drgnęło! Dotknąłem mych pięści, szukając sznura od dzwonu; nie było go! Jakoż pierzchnął na zawsze mój pocieszyciel i zawładnęła tryumfująco jeszcze okrutniejsza rozpacz; nie mogłem bowiem znaleźć wyściółki, którą tak starannie przygotowałem, a ponadto nagle uczułem w nozdrzach dziwnie mocny zapach wilgotnej ziemi. Wniosek był nieodparty. Nie znajdowałem się w grobowcu. Uległem paroksyzmowi gdzieś poza domem — wśród obcych ludzi. Jak i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć. Oni to pochowali mnie jak psa — zabili gwoździami w byle jakiej trumnie i zagrzebali głęboko, głęboko i na zawsze w pierwszym lepszym, bezimiennym dole.

Gdy to bolesne przeświadczenie wtargnęło do najwnętrznějších tajni mej duszy, wyczerpałem znów wszystkie siły, by krzyknąć na całe gardło, i tym razem mi się udało. Długi, przeciągły, dziki wrzask, a raczej potępieniecze wycie rozległo się w przestworzach podziemnej nocy.

— A co tam takiego? — odpowiedział szorstko jakiś głos.

— Co mu, u diabła, się dzieje? — odezwał się drugi.

— Cicho być! — odezwał się trzeci.

— Co on sobie myśli, że drze się jak dzikie zwierzę? — rzekł czwarty, po czym szajka jakichś nieokrzyszanych postaci przystąpiła do mnie i jęła mną tarosić bez ceremonii przez kilka minut. Nie obudzili mnie — gdyż nie spałem już wcale, kiedy krzyknąłem — lecz pomogli mi się opamiętać.

<sup>15</sup>paroksyzm — nagle wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych; atak, napad. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>cal — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>cherub a. cherubin — anioł stojący wysoko w niebiańskiej hierarchii, przebywający blisko Boga. [przypis edytorski]



Zdarzyło mi się to w pobliżu Richmond w Wirginii. W towarzystwie jednego z przyjaciół wybrałem się na polowanie o kilka mil poniżej mielizn na James River. Noc zbliżała się, kiedy zaskoczyła nas burza. Kabina małej szalupy, stojącej u brzegu na kotwicy i naładowanej ziemią ogrodową, była jedynym pobliskim schronieniem. Urządziliśmy się możliwie najwygodniej i spędziliśmy noc na pokładzie. Ułożyłem się do snu na jednym z dwu posłań, jakimi rozporządzała załoga statku, a nie potrzebuję chyba nadmieniac, czym są posłania w szalupie o pojemności szesnastu czy siedemnastu ton. Na tym, które zająłem, nie było wcale pościeli. Największa jego szerokość wynosiła zaledwie osiemnaście cali, zaś odległość tego tapczanu od wysklepiającego się nad nim pomostu była dokładnie taka sama. Wcisnąłem się na to łóżko z największą trudnością. Mimo to spałem jak kamień. Zwidzenie moje — nie był to bowiem sen ani nocna zmora — było naturalnym następstwem nader niewygodnej pozycji. Ponadto wynikło z nawykowych skłonności mojego umysłu jako też ze wspomnianej już opieszałości, z jaką odzyskiwałem władzę nad mymi zmysłami, zwłaszcza zaś z jaką powracała mi pamięć po przebudzeniu. Ludzie, którzy mnie tarmosili, należeli do załogi szalupy, lecz było wśród nich także kilku robotników zajętych przy jej wyładowaniu. Zapach ziemi pochodził od ładunku. Opaską dokoła szczęk była jedwabna chustka, którą zawiązałem sobie głowę, nie mając pod ręką używanej zazwyczaj czapeczki nocnej.

Męczarnie, jakich podówczas doznałem, nie różniły się na pewno od rzeczywistych. Były straszliwe — były bezgranicznie ohydne; wszelako zło było początkiem dobrego, gdyż pod ich uciskiem ocknęła się odporność mych władz duchowych. Dusza moja nabrała krzepkości — nabrała hartu. Począłem dużo chodzić. Jąłem się usilnie ćwiczeń fizycznych. Oddychałem powietrzem przestworów niebieskich. Myślałem o innych rzeczach — nie o śmierci. Buchana<sup>18</sup> rzuciłem w ogień. Zarzekłem się podręczników lekarskich. Nie czytywałem *Myśli nocnych*<sup>19</sup> ani bająn o cmentarzach, ani karawaniarskich opowiadań, takich jak niniejsze. Słowem, stałem się nowym człowiekiem i żyłem jak człowiek. Od owej pamiętnej nocy wyzbyłem się na zawsze mych żalobnych przewidywań, a wraz z nimi znikły niedomagania kataleptyczne, które prawdopodobnie były raczej ich następstwem niżeli przyczyną.

Bywają chwile, kiedy nawet dla trzeźwych oczu rozumu świat naszego nieszczęsnego człowieczeństwa staje się podobny do piekła; atoli wyobraźnia ludzka nie może, jak Carathis<sup>20</sup>, badać bezkarnie wszystkich jego czeluści. Niestety! Straszliwy korowód lęków pogrzebowych nie jest tylko urojeniem. Niby owe demony, które towarzyszyły Afrasiabowi<sup>21</sup> w jego podróży przez Oksus<sup>22</sup>, muszą one spoczywać we śnie albo nas pochłonąć — trzeba je uśpić, jeśli nie chcemy zginąć.

<sup>18</sup>Buchan, William (1729–1805) – szkocki lekarz, autor popularnej książki *Domestic Medicine* (Medycyna domowa), przetłumaczonej na niemal wszystkie języki europejskie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Myśli nocne* — popularny nierymowany poemat angielskiego poety Edwarda Younga (1683–1765), który zainspirował preromantyczną tzw. „poezję cmentarną” w Anglii oraz „poezję nocy i grobów” we Francji i Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Carathis — postać z wczesnoromantycznej powieści grozy pt. *Wątek* (ang. *Vathek*, 1786) Williama Beckforda: matka bagdadzkiego kalifa, która razem z nim poszukuje zakazanej wiedzy, by zdobyć nadprzyrodzone moce. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Afrasiab — postać z eposu *Szabname* (Księga królewska) perskiego poety Ferdousiego (ok. 940–ok. 1020): główny antagonistą perskich władców, mityczny król Turanów, potężny wojownik, obdarzony magiczną mocą. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Oksus (łac. *Oxus*, z gr. *Oksos*) — starożytna nazwa Amu-darii, głównej rzeki Azji Środkowej. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-przedwczesny-pogrzeb/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Opowieści tajemne*, wybór i przekład Stanisław Wyrzykowski, Instytut Wydawniczy "Biblioteka polska", Warszawa 1924.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7497-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).